

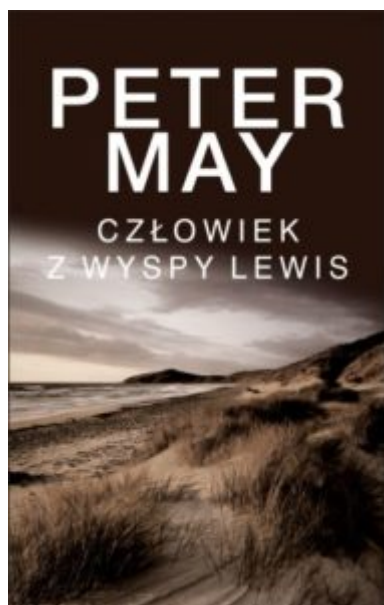
PETER MAY

CZŁOWIEK
Z WYSPY LEWIS



Nie zwłoki czynią kryminal

Cintryjka



Autor: Peter May

Tytuł: *Człowiek z wyspy Lewis*

Tłum. Jan Kabat

Wydawnictwo: Albatros, 2014

Stron: 400

Cena: 34,90

Choćby to były zwłoki sprzed pięćdziesięciu lat, wydobyte przypadkiem z precyzyjnie konserwującego torfu, same w sobie nie wystarczą, by powieść *Człowiek z wyspy Lewis* dało się zakwalifikować jako kryminalną. Powiem więcej: mimo że nie jest to sztuka prosta, drugi tom hebrydzkiej trylogii ma w sobie jeszcze mniej pierwiastka kryminalnego niż pierwszy. A obyczajem jest jeszcze gorszym, także dlatego, że sentymentalnym i ckliwym.

Konstrukcja intrygi „od końca” nie jest sztuką łatwą, a już w *Czarnym domu* mogliśmy się przekonać, że Peterowi Mayowi wychodzi co najwyżej średnio. Za drugim podejściem mu się nie polepszyło, bo choć powielił ten sam patent, rozbijając narrację na dwa plany czasowe (teraźniejszy i przeszły), nowa zagadka z przeszłości, gdy już poznajemy tożsamość nieboszczyka z torfowiska, traci intrygujący potencjał i zamienia się w dość przejmujący, ale przewidywalny melodramat. Z tradycyjnie już beznadziejną, nieoglądającą się na jakąkolwiek logikę końcową partią.

O ile jeszcze wątek z przeszłości jest spójny i angażujący emocjonalnie, choć sam temat (los katolickich sierot pozbawionych opiekunów, z których kościół robił darmowych niewolników dla zainteresowanych wiernych, odbierając dzieciakom nie tylko prawo do zwyczajnego życia, ale również tożsamość) wydaje się, mówiąc łagodnie, wybrany nieprzypadkowo. Jest idealny do grania na uczuciach odbiorcy, a ja rozgrywana być nie lubię. Mimo to kibicowałam trójce młodych bohaterów, bo inaczej się po prostu nie dało.

Również osoba narratora, aktualnie cierpiącego na pogłębiającą się szybko demencję, budzi silne emocje, gdyż akurat partie tekstu oddające jego rosnące z każdą chwilą zagubienie w otaczającej rzeczywistości są bez zarzutu. To jednak jedyna część wątku współczesnego, o której można tak powiedzieć, niestety. Beznadziejna szarpanina Finna i Marsailli wyjątkowo działała mi na nerwy, podobnie jak idiotyczne zagrywki świętoszkowatego pastora Murraya, choć on akurat miał jeden lepszy moment, w trakcie pijackiej posiadówki z MacLeodem. I - dla równowagi - najgłupszą możliwą rolę do odegrania w absurdalnym finale. Chyba za karę. O takich drobiazgach, jak udostępnianie Finnowi wszystkich materiałów ze śledztwa przez miejscowego policjanta, choć bohater opuścił szeregi policji, nawet nie warto wspominać.

Czas się przyzwyczać, że „śledztwo” to dla Maya tylko pretekst do opowiedzenia historii zakorzenionej w przeszłości. Tym razem, w mojej ocenie, o wiele mniej zajmującej niż poprzednio. Trudno mi tylko pojąć, dlaczego *Człowiek z wyspy Lewis* zaliczany jest do kryminałów. Chwył marketingowy? Jeśli tak, to zdecydowanie poniżej pasa, bo i powieści nie pomaga, i potencjalnego czytelnika wprowadza w błąd.